

Rozdział 1

Amelia z radością pokonywała kolejne kilometry, a gdy zjechała z głównej drogi w las; gdy owionął ją zapach leśnego igliwia i lekki wiatr wpadający do samochodu przez uchylone okna; gdy mijala kolejne leśne dróżki, które tylko pozornie wydawały się identyczne, poczuła, że naprawdę jest w domu. Nie potrafiła wskazać jakiegoś konkretnego momentu, w którym zyskała pewność, że to tutaj chce żyć. Może stało się to już na samym początku, gdy przyjechała do Ustronia, by spotkać się z babcią, której nigdy nie poznała? Ta obca wieś miała w sobie coś przyciągającego i pociągającego, i – ku zdziwieniu swojemu, a także całego otoczenia – coś niesamowicie ją tutaj ciągnęło. Z czasem zaczęła tęsknić nie tylko do tego miejsca, ale też do niego. Do mężczyzny, którego kochała. Nie wątpiła w to, chociaż nie miała pewności, czy on czuje to samo.

Jeszcze dwa zakręty i będzie w domu. Mogłaby już właściwie zamknąć oczy, a i tak trafiłaby do własnej bramy. Zwolniła, bo prawdziwy powód jej obecności w Ustroniu biegł właśnie środkiem leśnej drogi. Uśmiechnęła się do siebie i nacisnęła klakson. Na szczęście nie miał powszechnego dziś zwyczaju biegania ze słuchawkami w uszach, więc od razu się odwrócił, zatrzymał, a chwilę później z lasu wypadła Wiki i, radośnie machając ogonem, podbiegła do samochodu Amelii. Patryk

zerknął na wilczycę, która nie zaszczyciła pana nawet jednym spojrzeniem, po czym ruszył jej śladem. Amelia zatrzymała auto i wysiadła, by przywitać się z Wiki. Chwilę później podniosła wzrok na Patryka, który wyglądał, jakby czekał na swoją kolej. Widziała, że miał radość w oczach, ale z jakiegoś nieznanego jej powodu bardzo starał się zachować poważny wyraz twarzy.

– Uśmiech nie boli – zaczęła, demonstrując mu, jak wygląda taka rozradowana twarz. – Podobno to dobre dla zdrowia. Lekarz powinien to wiedzieć.

Patryk się nie odezwał, ale bez uprzedzenia zamknął ją w ramionach i przygarnął do siebie. Poczula ciepło rozgrzanego bieganiem ciała i szybkie bicie serca. Zatopił twarz w jej włosach i owionął ją zapach jego wody po goleniu, zmieszanej z jedynym w swoim rodzaju zapachem sosnowego lasu. Zamknęła oczy i pozwalała, by trzymał ją tak blisko. Odsunęła się lekko dopiero, gdy Wiki zapiszczała, przypominając im o swoim istnieniu.

– Tęskniłeś? – spytała Amelia, patrząc mu prosto w oczy.

Zawsze tak pytała, gdy na siebie trafiali, a on zawsze robił tę swoją nibygroźną minę, starając się – nie wiadomo dlaczego – nie uśmiechać. Zawsze, czyli od kilkunastu tygodni. Od czasu, gdy Amelia zdecydowała, że zostanie w Ustroniu. Że zostanie z nim. Dla niego. Z jego powodu. Właściwie nadal mu tego nie powiedziała. Nie padły między nimi żadne poważne deklaracje, nie używali wielkich słów, a byli ze sobą. Często wspólnie jadali posiłki czy spędzali czas na rozmowie, siedząc w cieniu na tarasie, a mimo to wciąż nie miała pewności, co Patryk czuje. Może on również tego nie wiedział albo nie był pewien jej uczuć? Oboje zachowywali się ostrożnie, jakby nie chcieli się nawzajem popędzać albo spłoszyć.

– Zdjęcia się udały?

Amelia pokręciła głową, dokładając wymowną minę, i ta reakcja wyraźnie nie odnosiła się do jej pracy zawodowej, a była jawną dezaprobatą dla próby uniknięcia odpowiedzi. Oboje chyba lubili tę grę. Ona zadawała to pytanie, on uciekał od odpowiedzi, by udzielić jej później.

– Mam pyszną kolację. Sałatkę z kozim serem, zainteresowana?

Amelia dostrzegła, że drży mu kącik ust, a oczy zmieniły swój wyraz. Do tego pociemniały, jakby błękit się pogłębił i na dobre przegonił szarość, która wypełniała tęczówki po obwodzie.

– Kози ser na kolację? – Amelia się skrzywiła.

– Tęskniłem, bardzo.

– Nie było mnie zaledwie tydzień.

– Sto sześćdziesiąt osiem godzin, ponad dziesięć tysięcy minut.

– Niecały tydzień...

– Niecałe dziesięć tysięcy minut.

– I pewnie zamęczałeś biedną Wiki tym bieganiem. – Amelia schyliła się, żeby pogłodzić wilczycę po grzbiecie. Chciała też na moment ukryć twarz, by nie widział, jak wielką przyjemność sprawiły jej te słowa i sposób, w jaki je wymówił. Właściwie dlaczego próbowała to ukryć? Nie lepiej popatrzeć mu w oczy i oznajmić to wprost?

Wiki od razu skoczyła radośnie, by ponownie się przywitać, i oboje się poruszyli.

– To ja pójdę naszykować tę ucztę, a ty zrób się na bóstwo.

– Też coś – prychnęła Amelia i wsiadła do samochodu, nie zaszczycając już Patryka nawet spojrzeniem.

Zaparkowała na podjeździe i omiotła wzrokiem ogród. Nie było jej tydzień, nie zmieniło się więc zbyt dużo w otoczeniu, ale czuła nieodpartą potrzebę obejrzenia wszystkiego. Otworzyła dom i od razu spojrzała krytycznie na zawiasy, bo drzwi lekko zaskrzypiały. Weszła do korytarza, a później do wielkiej kuchni, niemal niezmienionej od dnia, w którym przyjechała tu po raz pierwszy, nieco zagubiona, bez swojego miejsca na świecie, ze złamanym sercem, w poszukiwaniu nie wiadomo czego.

Zajrzała do pokoju, który nazwała biblioteką, oraz do gabine-
tu z wielkim biurkiem i wyściełanym fotelem, w którym podobno
lubiła siedzieć jej babcia. Na koniec weszła do swojego pokoju
z ogromnym, staromodnym łóżkiem i rzuciła walizkę na pod-
łogę, a komputer i torbę ze sprzętem fotograficznym postawiła
delikatnie na stole. Musiała jeszcze wieczorem popracować, żeby
przygotować materiał dla klienta. Szło jej nieźle i powoli roz-
kręcała swój biznes. Ważne dla niej było, że jest sama dla siebie
szefem i ma wpływ na wybór zleceń. Była w końcu artystką i mu-
siała pilnować, by inni o tym pamiętali. W czasach, gdy każdy
miał niezły aparat w telefonie, trzeba było się mocno postarać,
by udowodnić, że wykonanie dobrego zdjęcia to coś więcej niż
pstrykanie fotek smartfonem.

Nagle coś puknęło w kuchni. Spadło albo zaszurało. Nie była
pewna, jak brzmiał ten dźwięk, ale wyraźnie go słyszała. Z lek-
kim wahaniem ruszyła w stronę kuchni i ostrożnie wystawiła
głowę przez drzwi. Odetchnęła, gdy zobaczyła kota siedzącego
na nieużywanym obecnie piecu. Czarno-białe zwierzątko z białą
plamą na łebku patrzyło na nią wyczekująco.

– Żabcia, co tu robisz? Jak tu weszłaś?

Amelia wzięła kotkę na ręce, chociaż ta zesztywniała, jakby wołała być w całkiem innym miejscu. Taka już była, niby jej, a jednak nieco dzika i chodząca własnymi ścieżkami.

– Pan o ciebie nie dbał? Nie dał ci jeść?

Kotka zgodnie zamiauczała, Amelia wyciągnęła więc z szafki saszetkę z karmą i wyłożyła jej zawartość na miseczkę. Żabcia była kotką babci, ale po jej śmierci krążyła między domem Amelii a domem Patryka, jakby chciała ich ze sobą połączyć. Może tak właśnie było? Obserwowanie kota przy jedzeniu przerwał Amelii dźwięk telefonu. Ruszyła do sypialni i spojrzała na wyświetlacz.

– Cześć, Lena. Co za niespodzianka...

– Co jest zaskakującego w tym, że przyjaciółka dzwoni do przyjaciółki?

Amelia uśmiechnęła się kwaśno. Ich ostatnia rozmowa przebiegła dość burzliwie i na pewno nie można jej było uznać za zakończoną. Nawet jeśli Lena nie potrafiła długo chować urazy, należało się spodziewać ciągu dalszego.

– Myślałam, że się obraziłaś... – zaczęła Amelia ostrożnie, ciągle rozglądając się po pokojach, jakby nadal sprawdzała, czy w domu wszystko jest na swoim miejscu.

– Ja? Przyjaciółki się nie obrażają, ale nadal uważam...

Przewróciła oczami.

– Tak, tak, wiem. Robię błąd, zakopuję się na wsi, na końcu świata, zadupiu i tak dalej.

– To nawet nie o chodzi o to miejsce, kochana...

– Proszę cię, Lena, nie wałkujmy tego wszystkiego od nowa. Dawno mi tak na nikim nie zależało, jak na nim. Próbowалам

zapomnieć przez całą zimę. Nie udało się, więc może to coś oznacza. Chcę spróbować, chcę dać mu szansę. Patryk nie jest taki jak inni faceci.

– No pewnie, że nie jest. Żaden inny by się tak nie zachował wobec takiej laski jak ty. Kręcił się wokół ciebie jak dziewczica i nie mógł się zdecydować: chce być z tobą czy nie chce, kocha albo nie kocha, chciałby, a się boi, i tak dalej – ciągnęła z przejęciem Lena.

Amelia aż parsknęła pod nosem.

– Jasne, kolejki się ustawiały, by pocałować rąbek sukni panny Amelii. Patryk może i nie jest królem salonów, ale to naprawdę świetny facet i chcę zaryzykować. Nie znasz go...

– Ty w zasadzie też go nie znasz.

– To akurat nieprawda... – Zacisnęła pięści.

Podobną rozmowę odbyły kilka dni temu i jeszcze kilka dni wcześniej, gdy Amelia przyjechała na weekend do mamy, do Gdańska. Miała już dosyć tego tematu, może odrobinę się bała, że Lena jednak ją przekona, że popełnia błąd. Jej przyjaciółka umiała być przekonująca – w końcu nie bez powodu robiła karierę w korporacji.

– Wybierz się do mnie na weekend, pochodzimy po lesie, poznasz lepiej Patryka...

– Połapiemy kleszcze, komary nas zjedzą, a jak nam się znudzi, to pójdziemy zapolować na dziki.

Amelia roześmiała się nieco sztucznie, ale zrobiło jej się przykro. Nie dlatego, że przyjaciółka nie rozumiała jej wyboru, nie dlatego nawet, że chciała ją po swojemu ochronić przed życiowym błędem... Ona przecież drwiła z tego, co dla Amelii stało się ważne. Z nowego, często jeszcze nieznanego, trochę obcego, ale już jej świata.

Salatka okazała się naprawdę pyszna i Amelia miała podejrzenie, że z jej przygotowaniem musiała mieć coś wspólnego Marzena Zwierzchowska, mama Patryka, podpora miejscowego koła gospodyń wiejskich, której potrawy słynęły na całą okolicę.

– Karolina o ciebie pytała właściwie codziennie. I bez przerwy się upewniała, czy nic ci nie zrobiłem, bo nie mogła uwierzyć, że z własnej woli wyjechałaś na tydzień. Była tu nawet dzisiaj z Marysią. Mała gaworzyła bez przerwy, sama Karola jej chyba nie przegada, jak zacznie mówić.

Amelia uśmiechnęła się na wspomnienie siostry Patryka, którą tak polubiła i która miała duży wkład w jej powrót do Ustronia. Zaproszenie na osiemdziesiąte piąte urodziny Karola Zwierzchowskiego pozwoliło jej zrozumieć, że nie tylko nie potrafi zapomnieć o Patryku, ale tego nie chce.

– Niedługo będzie miała rok – mruknęła Amelia, znów uciekając myślami do tej zimy, którą spędziła w Gdańsku po wyjeździe z Ustronia. Były w stałym kontakcie z Karoliną, więc szybko się dowiedziała, że na świat przyszła jej córeczka.

– Karola zamierza wrócić do pracy po Nowym Roku, na początku w niepełnym wymiarze. Mama nawet się ucieszyła, bo liczy, że córunia będzie jej podrzucać wnuczkę.

– A jak dziadek?

– W porządku. Też o ciebie pytał. Zresztą mama i tata też o ciebie pytali. Kiedy wrócisz i że mam cię od razu przywieźć na obiad.

Amelii naprawdę zrobiło się miło, polubiła rodzinę Patryka, tak zżyła ze sobą, pełną wewnętrznej siły. Ona była wychowywana

przez mamę, babcię i dziadka; i właściwie nie utrzymywała kontaktów z dalszą rodziną, zwłaszcza odkąd przenieśli się z Łodzi do Gdyni, gdy Amelia chodziła jeszcze do szkoły.

– Mama zamierza przyjechać w przyszłym tygodniu – zmieniła temat.

– Pani Basia tak polubiła naszą wiochę?

– Wiochę? Co to za określenie?

Patryk wzruszył ramionami.

– Na początku nie była jakoś przyjaźnie nastawiona do tego miejsca.

– Dziwisz się? Kojarzyło jej się głównie z mężczyzną, który zostawił ją w ciąży, i z kobietą, która jej nie pomogła.

Patryk nałożył Amelii dodatkę, widząc, że jedzenie bardzo przypadło jej do gustu.

– Sama wiesz, że to było dość skomplikowane. Chyba, bo jak było naprawdę, wie tylko twoja mama, pani Krysia już nam niczego nie powie – zamilkł na chwilę.

Lubił wspominać Krystynę Krzemińską, którą opiekował się pod koniec jej życia. Samotnego życia. Amelia zauważyła zmianę nastroju, nie chciała jednak podejmować trudnych tematów, zwłaszcza postawy swojej babci, gdy ta dowiedziała się, że będzie miała wnuczkę. Amelia chciała się cieszyć powrotem do domu, do miejsca, w którym zamierzała budować swoją przyszłość.

– Czasem mam wrażenie, że mama bardziej niż do mnie przyjeżdża do twoich rodziców, a właściwie do twojej mamy. Zobacz, jak była ostatnio, pół dnia spędziła na zakupach z panią Marzeną. Biegały po sklepach, kawiarniach i nie mogły się nagadać, nawet do kosmetyczki poszły.

– Rzeczywiście, tata się denerwował, bo mama raczej nie lubi takich eskapad, a jak pojechały, to zniknęły na długie godziny.

– Sam widzisz, może poświęci mi jakiś wieczór albo zechce zjeść ze mną śniadanie... Twój tata będzie miał za to wolne od...

Oboje roześmieli się głośno.



Patryk jak zwykle wparował do Amelii z samego rana. Wrócił z pracy i zamiast położyć się spać, wstąpił do sklepu po świeże bułki. Wprawdzie Amelia wołała pachnący wiejski chleb, ale przyjęła ten niezwykle prezent, a Patryk bezceremonialnie rozgościł się w jej kuchni i zaczął robić śniadanie.

– Jesteśmy zaproszeni na grilla – oznajmił, smarując bułki świeżym masłem, podczas gdy ona mieszała jajecznicę.

– Na grilla? Dokąd? Właściwie do kogo, bo przecież to ważniejsze niż dokąd...

Patryk zatrzymał rękę z nożem w powietrzu i spojrzał na Amelię, jakby zastanawiał się nad sensem jej słów.

Nagle się ocknął.

– Organizujemy czasem takie imprezy z chłopakami z załogi. Każdy po kolei...

– U tych, którzy nie mają ogródków też? – spytała przekornie.

– Też. – Patryk pokiwał głową dla podkreślenia efektu. Odpowiedź była ogólna; wyraźnie nie wyczuł intencji zawartej w pytaniu, może nawet oczekiwał, że Amelia sama pociągnie temat.

– Grilla organizujecie? – Z trudem zachowywała powagę.

nie chodziło o satysfakcję czy radość ze zwycięstwa. Chodziło o coś więcej. O miłość.

Patryk na pewno dostrzegł jej zamyślenie i rozmarzoną twarz, bo zamarł z resztką bułki w ręku i przypatrywał się jej z równie tajemniczą miną.

– Z reguły udaje mi się coś wyżebrać od mamy. Ciasto albo sałatkę.

– I pewnie mówisz wszystkim, że sam zrobiłeś...

– Jasne! Wiesz, jak to działa na kobiety?

Amelia popatrzyła na niego prowokacyjnie. Była pewna, że mówił tak, by wzbudzić w niej zazdrość. Cała ta rozmowa, mimo że zwyczajna, zaczęła nabierać jakiegoś specjalnego znaczenia i niezwykłego klimatu. Może to za sprawą jego spojrzeń? Mówił niezbyt dużo i pozornie zachowywał się jak zawsze, ale wodził za nią oczami, z wyrazem zachwyty na twarzy. Czuła się przy nim jak nastolatka, która łapała wzrok zapatrzonego w nią chłopaka, nieco onieśmielonego tym, że został na tym przyłapany. Liczyła jednak, że Patryk nie poprzestanie na patrzeniu. Nie chciała go popędzać, cieszyła się tymi pełnymi zmysłowości chwilami, stanowiącymi niejako zaproszenie i zapowiedź tego, co ich czeka zaraz, za moment, może jeszcze dziś, a może jutro...

– To lepiej coś wyżebrz, bo na ciasto w moim wykonaniu nie masz co liczyć. No i nie jestem przecież żoną, więc nie wiem nawet, czy przysługuje mi prawo przyniesienia jakiejś sałatki – dodała ironicznym tonem.

Patryk przełknął ostatni kęs pieczywa, którym wcześniej wytarł talerzyk z resztkami jajecznicy, i wyraźnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Nie martw się, nawet przez myśl mi to nie przeszło. – Amelia machnęła ręką.

– Nie?

Uniósł brwi i zagryzł usta. Miała ochotę powiedzieć mu, żeby nie wykonywał takich gestów, bo wygląda wówczas, jakby wściekał się na cały świat, ale zauważyła, że oprócz tego przez jego twarz przebiegł jakiś cień. Sprawiała mu przykrość? Poczuł się rozczarowany? Uczyla się wciąż jego reakcji, otwierali się na siebie. On bardzo powoli.

– Naprawdę lepiej, żebym niczego nie piekła, ale jakąś sałatkę może uda się sklecić – spróbowała wybrnąć. – Chociaż najlepiej byłoby, żeby pani Marzena się tym zajęła. Nie mogę ci przynieść wstydu, prawda? Może wezmę lepiej aparat i zrobię nam zdjęcie?

– Świetna myśl. – Patryk nieco się ożywił. Znów zaczął wodzić za nią oczami, gdy wstawiała naczynia do zlewu i włączała ekspres.

– Amela? Cieszę się, że chcesz ze mną pójść – wypalił nagle, tuż przed tym, jak urządzenie rozpoczęło mielenie ziaren.

Zagryzła wargi, żeby ukryć rozbawienie. Co za wyczucie czasu! Miał nadzieję, że nie usłyszy? Gdy gorąca kawa zaczęła wlewać się do filiżanki, Amelia odwróciła się do niego.

– Ja też.



Samochód znacznie zwolnił przed sporym domem z balkonem, na którym wciąż kwitły kwiaty, i drewnianą ławką przed ogrodzeniem, a kierująca nim kobieta skupiła wzrok na posesji, jakby chciała wypatrzyć kogoś na podwórku. Kiedy ostatnio była

w Jedliczu, nie przechodziła tędy ani nie przejeżdżała. Spędziła tu zresztą tylko jeden dzień. Babcia wciąż się dąsała i okazywała dezaprobatę dla jej postępowania. Minęło przecież trochę czasu, mogłaby więc odpuścić, ale nie – starucha wyjątkowo obstawała przy swoim. Nie było sensu tu przyjeżdżać i wysłuchiwać tych kazań.

Teraz wszystko wyglądało jednak nieco inaczej. Zamierzała zostać tu przez dłuższy moment i podjąć próbę naprawienia błędu sprzed kilku lat. Do tego w duchu przyznawała rację babci, wciąż wypominającej wnuczce wielki życiowy błąd, który wtedy popełniła, choć nazwanie jej latawicą i wywłoką było zdecydowaną przesadą i nie zamierzała puszczać tego w niepamięć. Wytężyła wzrok, ale na podwórzu nie dostrzegła żywego ducha, nawet pies nie wyszedł zobaczyć, kto przejeżdża, o ile oczywiście wciąż mieli psa.

Dodała gazu i wyjechała na trasę prowadzącą do Ustronia. Skręciła w Starą Drogę i bocznymi leśnymi drózkami osiągnęła drugi cel swojej wyprawy. Tu zmierzała z dużo większymi emocjami i czuła już szybciej bijące serce, chociaż przecież akurat z tym domem nie wiązały się jej wspomnienia – bywała tu rzadko, bo ówczesny gospodarz tego miejsca wyraźnie jej nie lubił, chociaż zachowywał się uprzedzająco grzecznie i nie mogła mu nic zarzucić. Takie rzeczy jednak się czuje.

Skręciła w ulicę Kapryśną i od razu zobaczyła biały domek z kominem. Tkwił samotnie wśród lasu i również nie było widać wokół niego żadnych oznak życia, inaczej niż po drugiej stronie drogi, w domu starej Krzemińskiej. Tam, na podjeździe, stał samochód z otwartym bagażnikiem, z którego ktoś coś wyjmował albo robił w nim porządki. Nie widziała dobrze tej osoby,

bo ta miała na sobie jakąś ciemną kurtkę i narzucony kaptur, ale z sylwetki i ruchów mogła wnioskować, że była to dziewczyna. Ta dziewczyna, która ukradła jej mężczyznę i przez którą może go już nie odzyskać. Przyjrzałyby się lepiej, tamta jednak podniosła głowę i zatrzymała spojrzenie na wolno poruszającym się samochodzie, do tego po drugiej stronie drogi zaszczeakał głośno wielki pies. Nie miała tutaj już nic do roboty, dodała więc gazu i odjechała w stronę domu babci.